

Płatne – bezpłatne

Dyskusja na temat „płatne – bezpłatne”, czyli kto płaci (za każdym razem ktoś płaci), powinna zawsze wychodzić od problemu „zysk – strata”, czyli kto zyskuje, a kto traci. Inaczej mówiąc, pierwotne jest pytanie o koszty: Kto i w jakiej części bierze udział w spodziewanych zyskach? W przypadku edukacji zwykle ogranicza się ten fragment rozumowania do „oczywistego” stwierdzenia, że zyskuje ten, kto ... uzyskuje wykształcenie.

Chwila zastanowienia wystarczy, by zauważyć, że edukowany nie tylko nie jest jedynym beneficjentem edukacji, ale nawet jest najczęściej w sensie procentu zysku jednym z mniejszych, a nierzadko nawet otrzymuje „ujemną część zysku”¹. Nietrudno zauważyć, kto „zbiera śmietankę” z dobrej edukacji. W dużej mierze współpracownicy. Wybitny inżynier to praca dla kilkudziesięciu, a czasem nawet kilku tysięcy pracowników. To samo dotyczy znakomitego lekarza czy artysty. Nawet pojedynczy kabareciarz to praca dla kilku osób, a w przypadku zespołu już dla kilkudziesięciu osób. A przecież to nie współpracownicy osób wybitnych są głównymi beneficjentami ich wielkości. Głównymi beneficjentami są osoby trzecie albo – mówiąc górnolotnie – społeczeństwo, a bardziej konkretnie użytkownicy produktów, pacjenci, konsumenci, odbiorcy sztuki itd. A w końcu nie najmniej istotny jest minister finansów, zbierający z tego wszystkiego podatki, dzięki którym utrzymywane jest całe państwo.

Podsumowując, edukacja jest wspólną inwestycją państwa i edukowanego. Ten ostatni zbiera mniejsze zyski, więc i powinien ponosić mniejsze nakłady. Niestety, to ostatnie jest niemożliwe, bo największą częścią nakładów na edukację jest praca edukowanego. Dlatego żądanie od niego jeszcze pieniędzy jest bezczelnością lub, co w naszym przypadku chyba powszechniejsze, próbą oszustwa. To ostatnie polega głównie na sugestii, że edukacja jest „świadctwem”, za które edukowany powinien być

wdzięczny swemu „dobroczyńcy”. Oczywiście, to ostatnie też w wielu przypadkach² jest prawdą. Np. dotyczy to osób pokrzywdzonych przez los i tych, którym państwo jest coś winne. A więc osób niepełnosprawnych, zasłużonych (np. żołnierzy niemogących kontynuować kariery wojskowej, a np. rannych „na misjach”), czy po prostu tych, których na kształcenie nie stać. W tym ostatnim przypadku „świadctwienie” może być po prostu rozsądną inwestycją, bo ubogi ma zwykle większą od bogatego motywację i przy zbliżonych zdolnościach osiągnie z zasady więcej (a więc przyniesie większe korzyści) od bogatego. Jakby jednak nie było, „świadctwienie” powinno oznaczać wzrost nakładów finansowych, czyli np. stypendium, a nie zmniejszenie obciążeń.

Pomijając te wszystkie, w gruncie rzeczy drobiazgi, podstawowym obowiązkiem państwa nie jest kombinowanie nad zmniejszeniem kosztów³, ale dbałość o jakość produktu finalnego, czyli jakość wykształconych. A tego nie da się uzyskać przy uzależnieniu szkoły od liczby studentów, bez względu na to, czy utrzymanie biegnie przez czesne, czy liczbę chętnych (utrzymanie uczelni powinno zależeć od ilości i jakości pracy naukowej). Po prostu mając siedmiu studentów na roku, nie mogą nikogo oblać, mimo że niektórzy z chętnych do zostania inżynierami wykazują upartą niechęć do opanowania twierdzenia Pitagorasa, a słowo *sinus* wydaje im się inwektywą. Oczywiście „odolnie” problemu rozwiązać się nie da, a przynajmniej próba rozwiązania na poziomie lokalnym skończy się raczej usunięciem egzaminatora (zwłaszcza że kontrakt podpisuje się co semestr) albo likwidacją szkoły mającej zbyt duże wymagania. I to jest głównym problemem edukacji – warto dodać już od szkoły podstawowej, bo tam problem jest identyczny. A dyskusja o „płatne czy bezpłatne” jest tematem zastępczym, wynikającym ze sprawności polemistów (por.⁽²⁾), którzy wprawdzie używają prawdziwych argumentów, ale prowadzących jedynie do zaciemnienia obrazu.

JERZY KUCZYŃSKI

Planetarium Śląskie w Chorzowie

¹ Tak było „za komuny”, gdy inteligent zarabiał mniej od robotnika. Tak jest z zasady w przypadku „zawodów kariery” (artystyczne, naukowe) – wprawdzie zysk z udanej kariery jest bardzo wysoki, zwłaszcza wliczając satysfakcję i dodatkowe korzyści, takie jak zwiedzanie świata i salonów – jednak ryzyko nieudanej kariery jest olbrzymie (większość karier nie wychodzi), a jej koszt (ujemny zysk) polegający na wyczerpanej wieloletniej pracy (zwykle przez ludzi z zewnątrz w ogóle niezauważalnej) oraz problemach rodzinnych (rodzina robiącego karierę ma niałatwo i często się rozpada) jest na tyle duży, że „średnia suma, wliczając nieudane kariery, wychodzi ujemna”.

² Powszechną cechą świata jest wielowymiarowość. Dlatego w praktyce powszechne są sytuacje, gdy ktoś z jednego powodu jednocześnie zyskuje i traci, a zysków i strat nie daje się zbilansować, bo dotyczą innych wielkości. Stąd często jesteśmy i za, a nawet przeciw. Umożliwia to sprawnym polemistom, korzystającym z prawdziwych ar-

gumentów, przekonywać do dowolnej, nawet dowolnie bzdurnej, tezy. W przypadku edukacji prawie wszyscy jesteśmy jednocześnie zainteresowani poprawą i pogorszeniem jej jakości. I w tym przypadku nietrudno wskazać ogólną regułę. Zainteresowani jesteśmy poprawą fachowości ludzi nas obsługujących (urzędników, lekarzy, artystów itp.), a nie życzymy sobie wzrostu wymagań od nas, a w miarę możliwości chcielibyśmy pogorszenia fachowości naszych konkurentów. A ponieważ „bliższa ciału koszula”, bardzo chętnie dajemy wiarę wieściom o „przeładowaniu programów” czy „bezczelnym” wymaganiom na uczelniach. I nie przeszkadza to nam w świętym oburzeniu na powszechny brak kompetencji w niemal wszystkich innych niż nasz zawodach. Świadomość powyższego faktu wprawdzie nie łagodzi sądów dotyczących argumentacji (oceny wspomnianych polemistów), ale umożliwia zrozumienie.

³ Też ważne, ale podrzędne w stosunku do głównego zysku, jakim jest uzyskanie fachowej kadry.